

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Historja się powtarza.

Jeszcze opinja polska nie zdążyła otrząsnąć się całkowicie z sugestji, że rząd litewski jest posłusznym narzędziem w ręku niemieckim, gdy rozpoczęło się urabianie jej w przeciwnym kierunku: polityką litewską kierują dowolnie Sowiety. Tak przynajmniej wmawia w czytelników „Kurjera Porannego” stały jego korespondent z Kowna. Umowa gospodarcza, którą zawarł w Moskwie litewski minister rolnictwa Aleksa, ma być, zdaniem tego korespondenta, zapłatą za zaprzecanie się polityczne Litwy Sowieciom. Słowem, jakiegokolwiek posunięcie uczyni rząd litewski w polityce zagranicznej, będzie ono zawsze wytłumaczone w Warszawie, jako objaw jego niezdolności do samodzielnego myślenia i postępowania.

Oczywiście inaczejby wypadła ocena polityki litewskiej, gdyby ta szukała oparcia dla siebie nie na zachodzie, jak za rządów Voldemarasa i nie na wschodzie, jak obecnie, ale na południu. Wówczas kierownicy nawy państwowej Litwy byłiby uznani jako najbardziej wytrawni i przewidujący mężowie stanu. Jednakże Litwa nie zdradza obecnie żadnych inklinacji w tym kierunku. Czy można się temu dziwić?

Akurat rok temu dawała się zauważyć w Kownie gotowość do pewnych ustępstw ze swego programu maksymalnego w sprawie Wilna i skłonność do szukania kompromisu z Polską. Było to w okresie, poprzedzającym wizytę p. Prystora w Kownie, a zapoczątkowanym przez *prywatną* misję hr. W. Zubowa w Warszawie. Nawet zdecydowani sceptycy gotowi byli wówczas uwierzyć, że nastąpi zasadniczy zwrot w stosunkach polsko-litewskich. Suche oświadczenie min. Becka, że „żadne negocjacje polityczne między Warszawą a Kownem nie są

w toku” rozwiało budzące się nadzieje, a komentarz p. Testisa do powyższego oświadczenia w „Kurjerze Wileńskim”, utrzymany w tonie dumnym i wyniosłym, kategorycznie zapowiadał, że „mrzonką jest poszukiwanie kompromisów w sprawie Wilna”.

I dziś znów, gdy prof. Paksztas wystąpił z pomysłem uregulowania kwestji wileńskiej na podstawach, zbliżonych do projektu Hymansa, tenże p. Testis oświadcza krótko i węzłowato „Ugody polsko-litewskie mogą mieć rozmaitą treść i rozmaitą formę. Ale każda wyjść musi z założenia obecnego status quo”. Jeżeli tak twierdzi redaktor naczelny „Kurjera Wileńskiego”, pisma, które swego czasu niejednokrotnie opowiadało się za koniecznością kompromisu, które nawet przebąkiwało o swych sympatykach dla idei W. Ks. Litewskiego, to jakież może być stanowisko publicystów i polityków warszawskich, dalekich od jakichkolwiek sentymentów krajowych (w naszym rozumieniu) i najzupełniej obojętnych wobec tragedji Wilna? „Non possumus” — oto jedyna odpowiedź z ich strony, z jaką mogą się spotkać wszelkie próby porozumienia między Polską a Litwą na podstawie wzajemnych ustępstw.

A nawet, pomijając kwestję Wilna, czy Polska uczyniła jaki krok na terenie międzynarodowym, by upewnić Litwę o swej życzliwości i swem poparciu jej w tak groźnym dla niej obecnie konflikcie z Niemcami? Postawa Polski jest wciąż zagadkowa i budzi najprzeróżniejsze domysły w świecie dyplomatycznym. Czy można tedy dziwić się politykom litewskim, że wobec aktualnego niebezpieczeństwa niemieckiego, szukają pomocy tam, gdzie widzą wyraźną akcję, mającą na celu sparaliżowanie zapędów agresywnych Trzeciej Rzeszy?

Jest rzeczą niewątpliwą, że, jak wskazuje doświadczenie dziejowe, wspólny front polsko-litewski może najskuteczniej zabezpieczyć obie strony przeciwko imperjalistycznym dążeniom obu potęg: za-

chodniej i wschodniej. Rozumieli to dobrze zarówno Jagiełło, który dbał przede wszystkim o interesy Polski, jak Witold, któremu na sercu leżało dobro Litwy. Dlatego też po długich walkach zawarli ze sobą kompromis, który został uwieńczony wspólnym zwycięstwem pod Grunwaldem. Bez ustępstw ze strony Jagiełły na rzecz Witolda do porozumienia nie doszło, a wówczas, kto wie, jaki los oczekiwał Polskę i Litwę.

Historja się powtarza, ale dzisiejsi mężowie stanu nie chcą korzystać z nauki, jaką daje przeszłość.

Murowany system a pobożne życzenia.

W ostatnim numerze „Włóczęgi”, porusza p. Seweryn Wysłouch, wprowadzie już oklepane, lecz zawsze żywe i bolące zagadnienie — stosunku administracji państwowej do otaczającej ją rzeczywistości, na naszym terenie. W artykule swoim, zatytułowanym: „Teoria a rzeczywistość” — za motto rozważań bierze okólnik ministra spraw wewnętrznych, p. Zyndram-Kościałkowskiego, w którym to okólniku p. minister wypowiada następującą sentencję: „bez wzajemnej życzliwości i zaufania nie może być mowy o prawidłowym i skutecznym administrowaniu”. P. Wysłouch wypowiada słuszną uwagę, że okólnik ten, względnie jego zalecenia, stają się pustym dźwiękiem w szarudze naszej rzeczywistości, gdyż słowa „o wzajemnej życzliwości i zaufaniu” „w dzisiejszych naszych warunkach to marzenie o czemś nieziszczelnem, lub nieosiągalnem”. I — dodajmy od siebie — nasza rzeczywistość już od dawna została uregulowana i ułożona pod wpływem znacznie twardszych argumentów, które i teraz skuteczniej działają, niż okólnikowe słowa p. ministra.

P. Wysłouch rozważa dalej: „kto tu ponosi winę?”. I dochodzi do wniosku, że nie tylko urzędnik, do którego są słowa p. ministra skierowane, lecz „cały system administracyjny i zasady, na których został on oparty”, w którym urzędnik odgrywa nieraz rolę trybu w pędzącej maszynie.

Na czem więc ujemne strony tego „systemu” polegają w rozumieniu p. Wysłoucha? Na unifikacji i centralizmie. „Dziesięcioletnie doświadczenie ustawodawstwa Państwa Polskiego” — jak to stwierdziła Komisja dla Usprawnienia Administracji Publicznej przy Prezesie Rady Ministrów — (cytuje p. W.) — „wykazało, iż lekceważenie zasadniczych różnic, tkwiących w terytorjalnej organizacji administracji poszczególnych dzielnic, przynosiło najfatalniejsze rezultaty”. I stwierdza autor, że „zasada unifikacji, która legła u podstawy naszej maszyny ustawodawczej, w praktyce przeobraziła się w daleko idący centralizm i biurokrację, tak bardzo niepopularne w społeczeństwie województw wschodnich, bez różnicy przynależności narodowościowej”.

Jest to tok rozumowania p. Wysłoucha, któremu w zasadzie nie można odmówić słuszności. Ale — jakież stąd wnioski pozytywne wysnuwa autor? Niestety — nie wysnuwa ich wcale. Przytoczywszy, bardzo zresztą jaskrawy obrazek maltretowania chłopów tutejszego przez sztywne przepisy, stawia p. ministrowi retoryczne pytanie; „Co w tym chaosie i anarchji zbawczych i teoretycznie najlepszych” (!) norm prawnych poradzi najlepszy urzędnik, który ma „lojalnie” wykonywać ustawę i równocześnie „pozyskać” zaufanie ludności?”. Na tle tego pytania moglibyśmy snuć swoje rozważania, chociażby nawiązując je do nowej konstytucji, w uchwalaniu której p. minister brał też udział — ale czy bezpiecznie zapuszczać się aż tak głęboko? Wolimy poprzestać na paru słowach polemiki z p. Wysłouchem.

Niektórzy malkontenci, niezadowoleni z systemu, w kleszczach którego musi żyć nasz kraj, do rzędu których p. Wysłoucha niewątpliwie możemy zaliczyć, nie doprowadzają swej krytyki „systemu” do konsekwentnego końca, unikają stawiania kropki nad *i*. Mocni czasem w negacji — blade wyglądają jednak w pozytywnym wnioskowaniu. Dlaczego? Wydaje się — dlatego, że brak im konstruktywnego programu. Poddając nawet zjadliwej krytyce rozmaite regulujące nasze życie zarządzenia i okólniki — wciąż się ludzą nadzieją, że pod wpływem ich krytyki posypią się wreszcie takie zarządzenia i takie okólniki, które naprawią zło tkwiące w „systemie”.

A wreszcie — co to jest ów krytykowany system?

Kwestja białoruska w oświetleniu obszarnika mińskiego.

(Dokończenie).

Następują notatki z Mińska

9 listopada 1919 r. Uroczyste nabożeństwo w katedrze, jako w rocznicę wyzwolenia Polski, w obecności władz wojennych i cywilnych. Celebryjący biskup Łoziński, wpływom białorusko demagogicznym uległy (?), w przemowie swojej z kazalnicy między innymi czynił zarzuty ziemiaństwu za rzekomy brak ofiarności. Po nabożeństwie posiedzenie Tow. Rolniczego, oburzonego przemówieniem biskupa, które zamierzam odparować na raucie, wydanym tegoż dnia przez generała Żeligowskiego i Raczkiewicza w sali Szlacheckiej, na który przysłało mnie zaproszenie... W liczbie obecnych i miejscowy archijerej, który bardzo serdecznie witał Piłsudskiego, podczas jego obecności w Mińsku.

Tłumaczę biskupowi (Łozińskiemu), jak mylny jest jego pogląd na ofiarność ziemiaństwa, nie mówiąc już o tem, że ono jedno podczas zmieniających się okupacji, niosło cały ciężar wojny, wówczas gdy włościństwo tylko się bogaciło, ale przecież największą ofiarą, jest ofiara krwi, którą nad wszelkie moje oczekiwania tak szeroko i ochotnie poniosło ziemiaństwo nasze; wszak np. w słuckim powiecie niema ani jednego dworu, w którymby syn pozostał. I tak — poszło z powiatów do szeregów: 3 Radziwiłłów, 3 Woyniłłowiczów, 2 Zaleskich, 2 Domańskich, 2 Okołowów, 2 Czarnockich i t. d. Biskup słuchał uważnie i, nie znajdując na to odpowiedzi, mówił, że jakoby jego mowę źle zrozumiałem, że on tak nie myślał i t. d.

13 listopada 1919 r. posiedzenie Rady Ludowej Białoruskiej Rzeczypospolitej, złożone z samych socjal-rewolucjonistów, wygłaszających najbardziej skrajne teorie.

W listopadzie (29 czy 30) 1919 r. w Słucku, na jednym wiecu, gdy polski mówca zapowiadał na

Jakie składowe elementy go tworzyły i tworzą? Czy ów centralizm i owa unifikacja są dziełem tylko Warszawy? Nie tak jednak było i jest. W tworzeniu owego ciężkiego dla nas systemu centralizmu i unifikacji, pośrednio jakby chyłkiem, brały i wciąż biorą udział również miejscowe czynniki, ale nie „bez różnicy przynależności narodowościowej”. Właśnie ten element narodowościowy, a raczej narodowy, stawał się nieraz nie tylko biernym, ale i czynnym narzędziem, budującym u nas zasady centralizmu i unifikacji. Sugestje narodowe, mniejsza o to świadome, czy podświadome, stawały się nie mało ważnym czynnikiem, utwierdzającym u nas tendencje centralistyczne i unifikacyjne. Dobrym gruntem, na którym opiera się centralizm u nas, jest pewien uraz „narodowy”, tkwiący jednak głęboko w mentalności tutejszych Polaków, tych nawet, którzy walczą z tym centralizmem i podają się nieraz za „krajowców”.

I jeszcze jedno chcielibyśmy podnieść. Mamy tu na myśli inną też „sugestję”, która przemożnie wpływa na moc zwalczanego przez autora „systemu”. Warto zastanowić się nad tem, i dać sobie szczerą odpowiedź — czy centralistyczny system administrowania nie jest integralną częścią innego systemu — systemu rządów, które przez szereg lat tamten system podtrzymują i rozbudowują?

Ale na rozważania tego pytania brak niestety wolnego miejsca w „Przeglądzie Wileńskim”. Może na szpaltach „Włóczęgi” znajdzie się więcej.

Rek.

Symptomy otrzeźwienia.

„... Zapewniamy, że jako *szermierze światła kultury i polskości na rubieżach Wileńszczyzny*... będziemy w mrówczej pracy budować swą Ojczyznę, by była nam wielka i potężna jak ongiś za Jagiellonów — otoczona blaskiem potęgi i chwały”!

Tak uczestnicy wycieczki nauczycielskiej z Wileńszczyzny do Zakopanego formułowali w liście do kuratora wileńskiego z dn. 10.I.1935 swoje zadania na naszej ziemi. 29 podpisanych pedagogów stwier-

dziło, iż uważają za swój obowiązek nieść ludowi białoruskiemu (względnie — litewskiemu) *światło kultury i... polskości — równorzędnie*. I w tem najprawdopodobniej zgadza się z nimi cały ogół nauczycielstwa polskiego na „Kresach”.

Zastanówmy się na chwilę nad istotną treścią tej deklaracji. Zawiera ona w sobie dwa całkiem różne zadania: jedno — to *szerzenie kultury*, drugie — *szermierka o polskości*. W oczach tych, kto składa podobne deklaracje — oczywiście, w najlepszej wierze, — zadania te utożsamiają się, zlewają się w jedno: w szerzeniu polskości widzą oni eo ipso szerzenie kultury. Czy tak jest w istocie?

Bynajmniej.

Na ziemiach z ludnością niepolską, posługującą się własnym językiem, posiadającą swój narodowy dorobek kulturalny oraz aspiracje polityczne — niepodległościowe, identyfikowanie powyższych dwójga zadań uznać należy albo za krok *nieszczery*, albo za *nieprzemysłany*. Bezwarunkowo nieszczera była polityka dawnej carskiej Rosji, która, utożsamiając „Kulturę i rosyjskość”, starała się wynarodowiać podległe ludy za pomocą szkolnictwa rosyjskiego. W stosunku do nauczycielstwa polskiego na ziemiach białoruskich zarzutu nieszczerości nie stawiamy: jesteśmy przekonani, iż mamy tu do czynienia z *brakiem krytycyzmu i z uleganiem, zbyt daleko posuniętym wskazaniom kierowniczych sfer politycznych*.

Wiemy, iż w dalekim od nas państwie Wschodzącego Słońca istnieje polska misja katolicka. Członkowie tej misji szerzą wśród ludności chińskiej *kulturę chrześcijańską*. Jakże byliby oni zdumieni, gdyby który z reprezentantów nauczycielstwa polskiego w naszym kraju zadał im pytanie: „Czy wy tam uczyście Chińczyków po polsku”? — Podobny nonsens w odniesieniu do Chin jest dla każdego najzupełniej oczywisty. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o tereny z ludnością białoruską, gdzie ten nonsens stał się podstawową zasadą oficjalnej ideologii oświatowej..

Rzecz, logicznie niemożliwa, nie daje się zrealizować i w praktyce. Siedemnastoletnia praca polskiej szkoły państwowej wśród ludności białoruskiej jest jaskrawym tego przykładem. Wśród antypedagogicznej zasady utożsamiania kultury z pols-

rynku, że Polska niesie ludowi „*wolę*” w sensie swobody, ktoś z tłumu zawołał: *niechby lepiej przywiozła nam soli*.

11 grudnia 1919 r.... Areszty niektórych moskafilskich Białorusinów.

12 marca 1920 r.... Wobec przypuszczenia, że bolszewicy zechcą grać przy konferencji (ryskiej) na strunach białoruskich, chodziło o to, aby uprzednio pewne *modus vivendi* z męnerami białoruskimi przeprowadzić, co i zostało dokonane, przy udziale tegoż Raczkiewicza. Białorusini otrzymali zapewnienie swobodnego rozwoju narodowościowego i pewnego ustroju autonomicznego w Państwie Polskiem, przytem na potrzeby chwili bieżącej 9.000.000 marek, z których im 2.000.000 marek *ex nunc* wypłacone zostały. Z ich strony prowadził pertraktacje przeważnie Iwanowski.

Znowu w Warszawie:

8 maja 1920 r.... Odbyło się w Warszawie pod czas mojej bytności posiedzenie zarządu Związku Polsko-Białoruskiego; ponieważ w rozmaitych ode-

zwach Białorusini wciąż głosili o suwerennej Białorusi, zwróciłem uwagę zebranych, iż wobec tego, że Białoruś ani jednego grosza na ten cel nie dała, ani jednego żołnierza na front nie wysłała, jest absurdem wyobrażać sobie, że Polska za nich wszystkie kasztany z ognia powyciąga. Gdy ofiarą swego życia i mienia dojdzie do granic etnograficznych Białorusi od wschodu, wówczas da Białorusinom do rozstrzygnięcia dylemat: *Czy chcecie należeć do nas, czy do Rosji?* Więc należy odrazu wyrzec się samostanności, dążyć do związku z Polską, na podstawie wybitnej autonomji, którą, zależnie od warunków współżycia, można będzie zwać lub rozszerzać, według okoliczności dziejowych. Stojąc więc na podstawowej zasadzie niepodzielności Białorusi, która nigdy nie może się zgodzić na zostanie objektem targu lub umowy między Polską i bolszewikami, należy wydać odpowiednią deklarację w pismach, z przedstawieniem jej sferom miarodajnym rządowi polskiego. Obecni uznali słuszność tych argumentów; polecono prezydium zrehabilitować odnośne podanie,

kością, wśród tych nauczycieli, którzy zasadę tę w czyn starali się wcielić, widzimy dziś niezwykle symptomatyczny objaw: uświadomienie, iż *tą drogą nie służą oni ani sprawie szerzenia kultury wśród ludu, ani—polskości.*

Takim objawem jest zamieszczony w „Kur. Wil.” artykuł anonimowej „Nauczycielki”, która z prawdziwą rozpaczą stwierdza *zupełne bankructwo własnej wieloletniej działalności na niwie oświaty ludowej—w myśl zasady: „Kultura i polskość”.*

Oto co pisze ta naprawdę niezwykle odważna pedagogiczka, uważająca za swój obowiązek ujaźnić całą, chociaż może przykrą, prawdę o szkole polskiej i wynikach jej pracy*):

„Wizytacja... Inspektor... i wszystko źle. Poziom rachunków w klasie IV niedostateczny. Geografii dzieci nie umieją—o historii nie mają pojęcia. Po polsku piszą z rażącymi błędami ortograficznymi. A co najgorsze—nie umieją mówić. Buzie zasmarowane i żadne ćwiczenie w mówieniu nie udało się Panu Inspektorowi. Mniejsza już o niedostateczną ocenę pracy—o upomnienie czy inne wytknięcie. Wiem sama, że *jest źle.* I wiem dlaczego jest źle. Czy pomyślał kiedy Pan Inspektor, z jakimi strasznymi trudnościami walczą moje dzieci? Wszak przychodząc do szkoły nie znają ani jednego, literalnie, *ani jednego słowa polskiego.* Nie słysza dokoła żadnej innej mowy, jak białoruską. A i teraz *po polsku mówią tylko ze mną.* Więc co mam robić, z memi dziećmi? Czy mam je uczyć *obcego im* języka polskiego? Czy mam z nimi realizować program szkoły powszechnej? Czy mam przerabiać materiał nauczania z rachunków, geografii, historii, przyrody, czy mam je nauczyć mówić, czytać i pisać po polsku? Bo jedno i drugie z należytych wyników osiągnąć się nie da. Czyż można od moich dzieci wymagać tyle samo, co się wymaga według programu od dzieci, mówiących w domu po polsku. Wszak moje dzieci mają *dwa razy tyle do zrobienia* co tamte: przejść program i nauczyć się mówić po polsku tak, żeby ten program można było przejść. Bo jedno jest uzależnione od drugiego. Bo program

*) „Kur. Wil.” Nr. 94 z dn. 5.IV.1935.—art. „Ze smutnych doświadczeń”.

trzeba przerabiać po polsku, więc z programu tego dzieci zrobią tylko tyle, ile się nauczyły po polsku, więc realizacja programu uzależniona jest od postępów dziecka w jęz. polskim. *O ileby dzieci moje uczyły się po białorusku, oczywiście, program zostałby zrealizowany, ale nie umiałyby po polsku.* Ale tak, jak teraz, to nie umieją ani dobrze po polsku, ani też nie mają opanowanego materiału nauczania”.

Po szeregu faktów i bardzo słusznych spostrzeżeń, autorka artykułu dochodzi do zabójczego dla polskiej polityki szkolnej w stosunku do Białorusinów wniosku, że *„szkoła nie spełnia swego zadania ani w dziedzinie nauczania, ani w dziedzinie wychowania”.* „Wiadomości szkolne niezasymilowane należycie ulatniają się bardzo szybko dzieciom z głowy”. „Przez polską książkę nie daje się dzieciom zaszczepić zamiłowania do czytelnictwa, i dziecko po wyjściu ze szkoły nie czyta żadnej książki, i nie raz spotykamy się na wsi ze zjawiskiem *powrotnego analfabetyzmu”.*

„Czy to jest droga związania Białorusina z Państwem Polskiem? I czy metoda, którą się stosowało dotychczas, nie wykazała opłakanych rezultatów po 17 latach?”

Nie wątpimy, iż nauczycielka, która odważyła się wystąpić *publicznie* z taką rewelacją, naprawdę jest w rozpacz: robiła sumiennie to wszystko, co jej władze i jej obowiązek patriotyczny nakazywały, wierzyła w słuszność tych nakazów—i oto stoi wobec *zupełnego bankructwa...* Więc zabiera publicznie głos, by zwrócić uwagę i społeczeństwa, i tych czynników, od których odbiera rozkazy: *caveant consules ne quid detrimenti respublica capiat!* Wątpimy jednak w skuteczność tego wystąpienia: albowiem *„czynniki miarodajne” doskonale wiedzą, dokąd prowadzi wieś białoruską ich polityka szkolna.* Albowiem znane są i Panom Kuratorom fakty, iż w państwowych szkołach nauczyciele Polacy musieli się porozumiewać z uczniami Białorusinami—przez tłumacza. Albowiem na taką szkołę natrafił podczas wizytacji jeden z byłych kuratorów O. S. W. Albowiem społeczeństwo białoruskie składało dziesiątki memorjałów, wykazując władzom (i przed, — i pomajowym!) nienormalność położenia szkolnictwa państwowego na ziemiach białoruskich i smutne

co było wykonane i zaraz po powrocie do domu, wyczytałem je w gazetach, przyczem zasada niepodległości Białorusi była podkreślona, ale suwerenność przemilczana.

W rodzinnych Sawiczach:

16 czerwca 1920 r.... Nadzielenie... odciętymi od własności większej ziemiami żołnierzy polskich, wytworzyłoby silnie zaakcentowany antagonizm narodowościowy u Białorusinów, uważających siebie za najwięcej uprawnionych spadkobierców tych obszarów.

W Warszawie:

24 czerwca r.... Posłuchanie u Piłsudskiego, z którym Woyniłłowicz prowadzi dyskusję o roli u nas klasy ziemiańskiej.

13 października 1920 r.... Doszła wiadomość o podpisaniu w Rydze preliminarzy pokojowych, w których granica kresów wschodnich pozostawia w ręku bolszewików Mińsk, stolicę Białorusi!!! Okropna rzecz, Polska przekreśla całą swą kilkowiekową kulturalną pracę na wschodzie; misja nasza

skończona... W ostatniej chwili w żądaniach pokojowych Polska wyrzekła się Mińska... Komisja nasza pokojowa w Rydze nie *musiała ustąpić,* ale od samego początku, w założeniu nie chciała *żądać Mińska.* Wstyd nam będzie nawet oczy pokazać w kraju, żeśmy byli pionierami idei, nieuznanej przez samą metropolję, która się nas wyparła i ciężko za to odpokutuje. Polska traci nasze obszary, któreby przez kolonizację upust jej przeludnieniu dostarczyły, przepoławiając Białoruś, stwarza wieczną irredentę, jak gdyby przykład Galicji Wschodniej nie był miarodajnym.

14 października 1920 r.... Gazety przyniosły wiadomość o wzięciu Mińska przez oddział kozaków generała Bałachowicza, a Wilna przez korpus litewsko białoruski generała Żeligowskiego. Pierwszy chce jakoby tworzyć *Białoruską Rzeczpospolitą,* drugi także samą *Środkowo-Litewską.*

24 października 1920 r.... Trafiłem na wielkie zebranie Związku Polaków z kresów białoruskich.. I co mamy teraz (po potwierdzeniu przez Sejm Su-

wyniki działalności szkoły polskiej... I— *zawsze bez żadnego skutku.*

Reprezentanci społeczeństwa białoruskiego wskazywali władzom szkolnym sposób prowadzenia szkolnictwa wśród Białorusinów, by *dawać dzieciom kulturę i jednocześnie nauczać je polskiej mowy. Może tego dokonać tylko i wyłącznie szkoła białoruska— z językiem polskim, jako przedmiotem nauczania. I to szkoła białoruska, a nie „utrakwistyczna”, o której można powiedzieć to samo, co i o szkole polskiej...*

Charakterystyczny fakt. W lutym r. 1927—bezpośrednio po rozgromie białoruskiej „Hramady” i prowadzonej przez elementy „hramadowskie” szerokiej akcji oświaty pozaszkolnej—Kuratorjum wileńskie uczyniło krok, który jakgdyby miał zapoczątkować państwowe szkolnictwo białoruskie. Kuratorjum (—prawdopodobnie z rozkazu Ministerstwa W. R. i O. P.) powołało do życia Komisję „dla opracowania tymczasowych programów nauczania języka białoruskiego i innych przedmiotów w szkołach białoruskich i utrakwistycznych”. Do komisji — obok reprezentantów władz szkolnych—zaproszeni zostali i przedstawiciele społeczeństwa białoruskiego. Jak informuje jeden z tych ostatnich, w łonie komisji panowała *zupełna zgodność poglądów na zadania szkoły powszechnej*, która przedewszystkiem winna wpajać kulturę w duszę dziecka białoruskiego, co możliwe jest oczywiście tylko w mowie ojczystej. Język państwowy temu zadaniu nie odpowiada. Wyniki pozytywne dać może tylko nauczanie po białorusku. Uczenie języka polskiego powinno się zaczynać w szkole 7-oddziałowej dopiero w 3-im oddziale—i to na początku systemem pogadankowym. Nawet do szkoły „utrakwistycznej, członkowie komisji ustosunkowali się negatywnie, gdyż i tam wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego równorzędnie z białoruskie jest nonsensem pedagogicznym.

Nie wiemy, co się stało z aktami tej komisji: czy ugrzęzły w archiwach Kuratorjum, czy też spoczywają gdzieś „pod sukmem” w Ministerstwie W. R. i O. P. Wiemy natomiast, iż żaden z postulatów komisji nie został zrealizowany. — Ale nie o to nam teraz chodzi. Chodzi o stwierdzenie faktu, iż

dzisiejszy kurs w szkolnictwie powszechnym dla Białorusinów przeprowadzany jest z góry z *zupełną świadomością antypedagogiczności szkoły polskiej dla ludności niepolskiej.* Bo klucz do rozwiązania problemu szkolnictwa na ziemiach białoruskich władze szkolne *miały*, lecz skorzystać z tego klucza — *nie chciały.*

Nie chciały — *i dziś nie chcą.* Przecie ostatnie białoruskie szkoły powszechne, które w ubiegłych latach jeszcze gdzieś istniały, obecnie już *nie istnieją.* Przynajmniej w wywiadzie z kuratorem, zamieszczonym w zeszłym roku w „Kur. Wil.”, przy wyliczeniu szkół „mniejszościowych” białoruskie były pominięte milczeniem... I to się robi w obliczu *kompletnej katastrofy oświaty powszechnej* na ziemiach z ludnością białoruską, — *katastrofy zarówno dla tej ludności, jak i dla państwa,* które wydaje miliony na szkolny „Kulturkampf” — z temi wynikami, jakie tak jaskrawo przedstawiła „Nauczycielka” w „Kur. Wil.”.

Wątpimy jednak, by ten pojedynczy głos *pedagoga* mógł przeważać decyzje *polityków*, dążących najwyraźniej do wynarodowienia Białorusinów—choćby kosztem *straszliwego obniżenia ich poziomu kulturalnego aż do — „powrotnego analfabetyzmu”.* „Zasób wartości wychowawczych w szkole ubożeje, i maleje. Kurczy się i zniekształca przez brak porozumienia z dziećmi w ich ojczystym języku”. Tak mówi „Nauczycielka”. Ale przecie *cała polityka szkolna w stosunku do Białorusinów opiera się właśnie na wyłączeniu ich języka ojczystego ze szkoły, na zastąpieniu go „obcym językiem”—polskim.*

I w tem leży sedno sprawy.

W każdym razie głos „Nauczycielki” — to fakt znamieny. Szczególniej — w zestawieniu z bardzo silnie zaakcentowanym protestem nauczycielstwa Wileńszczyzny przeciwko narzucaniu przez władze kierownikom szkół innej jeszcze funkcji politycznej—o charakterze *policyjnym*, dotyczącej wydawania *tajnych opinii* o podwładnych nauczycielach. Jeśli nauczycielstwo zacznie przyglądać się rzeczywistości szkolnej nie przez „przepisowe okulary”, lecz własnymi oczami, jeśli zdobędzie się na *krytyczne i samodzielne myślenie* a w konsekwencji —

werenny warunków rozejmowych w Rydze) począć, ziemianie Polacy na Białorusi? Idea polska, której tam byliśmy pionierami, zbankrutowała, bo sama Polska kresów się wyrzekła. Białorusini nas nie przyjmą, bośmy sami narzekając przez lat tyle na podział kraju między 3-ch sąsiadów, teraz, bez zapytania Białorusinów, kraj ich przepołowili... Gwoździem zebrań było sprawozdanie Mirosława Obiezińskiego—delegowanego dzięki zabiegom naszych organizacji kresowych, przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do Rygi, jako rzeczoznawczy spraw białoruskich. Sprawozdawca publicznie, nie lękając się zaprzeczenia, dowodził, że Joffe ustępował chętnie kresy po Dniepr i Dźwinę, ale St. Grabski, który poza plecami delegacji wszelkie pertraktacje z Joffem prowadził, opierał się, że *trzeba raz Polsce pozbyć się tego wrzodu białoruskiego*, i zadowolnił się linią obecnego rozejmu, zostawiając Mińsk bolszewikom i dążącą koło Nieświeża, na pół drogi między Nieświeżem a Cimkowiczami do rzeki Łani, a z nią do Prypeci...

W Warszawie, trzeba dodać, krążyły rozmaite wersje, następnie niepotwierdzone, iż podobnie jak Żeligowski Wilno, niby buntowniczo, a w gruncie rzeczy z błogosławieństwem i pomocą rządu, tak samo gen. Bałachowicz zajął już Mińsk i Białoruś, i takową samostanowiącą o sobie proklamować będzie. Już nawet tam rząd tymczasowy miano utworzyć w osobach: mojej, R. Skirmunta, Jerzego Czapkiego i Olgierda Świdy, co naturalnie było wierutnym fałszem, albowiem Bałachowicz znajdował się między Pińskiem a Mozyrzem... Oprócz tego w Warszawie, pod egidą hr. Władysława Tyszkiewicza, a z inicjatywy Sawinkowa, Mereżkowskiego, Fiłosofowa i innych, powstało towarzystwo rosyjsko-polskie, będące w kontakcie z gen. Wranglem, nieuznające Białorusi...

Białorusini od społeczeństwa kresowego się usuwali, zrażeni do Polski podpisaniem linii rozejmowej, tworzącej rozdział Białorusi... Po długich wyczerpujących debatach, postanowiliśmy... *ziemiom dawnego W. Ks. Litewskiego przyznać bardzo szeroką autonomję.*

i działanie, to może jednak i na naszych terenach szkolnych pedagog zwycięży polityków.

Byleby to się nie stało—*zapóźno!*

H. B.

Dziesięciolecie neounji.

W innych warunkach słyszelibyśmy zapewne w roku bieżącym o uroczystych obchodach dziesięciolecia istnienia neounji. Odgłosy takie dochodziłyby nas z Wilna i Łucka, z Polesia i Podlasia, z Albertyna i Dubna, z Kowla i Lubieszowa... Lecz głucho a ciemno jest dziś na całej linii, od Drużi po najdalsze „kresy” wołyńskie.

Minęło wprawdzie dziesięć lat od rozpoczęcia u nas akcji neounijnej, lat niezmiernie ciężkich a smutnych... Nie było oszczędzania, nie było kłamstwa, którego zła wola nie rzuciła na urzędowych przedstawicieli neounji u nas. Moc przeszkód specjalnie stworzono *ad hoc*, byle pracę unijną utrudnić, wypaczyć, opóźnić... Makiawelistyczna przewrotność u wrogów i prześladowców neounji świeciła i świeci tu swe niecne triumfy. Lecz nie to jest najważniejsze. Wszak ich sprzysiężenie przeciw neounji może nawet, w myśl przysłowia niemieckiego: *Wiele wrogów — wiele honoru*, być mimowolnym ich hołdem, oddanym świętości pewnej zasady i jej niezłomnym obrońcom.

Ważniejszym i nieskończenie zato gorszym jest tragiczne uwikłanie się polskiej akcji unijnej, którą dla krótkości zowiemy neounją, w nierozwiązalną sprzeczność i przeciwieństwa wewnętrzne, z których nigdy się nie wyplące, bo i jak, skoro polska racja narodowa i polska racja stanu narzuciły katolicyzmowi polskiemu, niemal od czasów Mieszka i Dąbrówki, funkcje wchłaniania i asymilowania wpród plemion słowiańskich, a potem i litewskich, do których skądinąd przenikał już wtedy chrystjanizm w szacie wschodniej? Plon tych serwitutów Kościoła katolickiego na rzecz narodu i państwa polskiego wyraża się nie w postaci tysięcy lub setek tysięcy dusz, zdobytych dla obrządku łacińskiego, a przezeń dla polskości, lecz wynosi już wprost całe *milijony*—jeśli

chodzi o liczby, całe ogromne połacie ziem — jeśli chodzi o terytorja. Jest to najprawdziwszy imperjalizm.

Zaprawiony do tej pracy *prawie od tysiąca lat*, katolicyzm polski dziś również zdolny i chętny jest do kontynuowania w nieskończoność tylko takiej działalności „*apostolsko-unijnej*”. Taki oto u nas katolicyzm stanął, przed dziesięciu laty, wobec arcytrudnego zagadnienia unijnego. Tu właśnie, nie gdzie indziej, znajdziemy rozwiązanie nienormalnego a potwornego w swej istocie i wymowie faktu, że akcję unijną wśród prawosławnych prowadzi się u nas *jednocześnie* z akcją rewindykacyjną *przeszło 750 po unickich cerkwi!*... Obawa utraty tytułu własności przez przedawnienie, oczywiście znaczy coś, nie należy jednak przeceniać czczego tytułu jurydycznego, gdy ten kompromituje doszczętnie podjętą z takim trudem, po dziewięćdziesięciu latach letargu, akcję wyższego rzędu—unijną. Te dwie akcje są tak *incompatibilia*, że należało bezwarunkowo zdecydować się i wybrać jedną z nich. Prowadząc naraz obie, katolicyzm żadnej nie wygra, zabagni tylko fatalnie położenie.

Stanąwszy, przed dziesięciu laty, wobec zagadnienia unijnego, katolicyzm polski nie zrezygnował ani na jotę ze swej zachłanności tak względem Ukraińców, jak Białorusinów i nawet Rosjan. Wyraźnie chciałby on ich wszystkich wchłonąć w siebie bez reszty, najpierw pod względem obrządkowym, a potem i narodowym.

Nie zmienia wcale postaci rzeczy, że niedawno arbp. Feodorowicz, nazwał gdzieś tę procedurę *garnięciem do serca Kościoła!*...

Szkoda tak pięknych słów złotoustego kaznodziei, skoro mają tu służyć dla oznaczenia pojęć takich, jak.. łatinizacja i nieodłączna z neounją u nas polonizacja.

Stąd w roku jubileuszowym dla neounji widać wszędzie depresję, niepewność, lekliwość o jutro, chaotyczność... Już nie wyklucza się ustępstw wobec ciemnej opinii naszych rodzimych pseudo-katolików, zgrzytających zębami na każde wspomnienie Unji. Rychło może załopocą na znak cząstkowej kapitulacji sztandary łacińskie nad niektórymi domami, dotąd nawet z wyglądu uchodzącymi za wschodnie.

2 listopada 1920 r.... Podczas mojej bytności w Warszawie, przybyła tam deputacja z drobnej własności i mieszczan mińskich złożona z petycją do Piłsudskiego, o włączenie Mińska do linii rozejmowej. Otrzymać mieli audjencję za powrotem Piłsudskiego, który właśnie wyjeżdżał na front południowy dla spotkania się jakoby z Petlurą, po rozbiciu Wrangla przez bolszewików. Miała delegacja tę prośbę, przez nich samych zredagowaną, bardzo dobitnie popierać, najciężej było dla serca polskiego usłyszeć z ich ust skargę: *a my, panoczku, tym Polakom tak wierzyli!*...

7 listopada 1920 r.... Depesze (nadeszły) generała Bałachowicza i Sawinkowa do Piłsudskiego, uświadamiające o walce z bolszewikami o *niezależną Białorus!*...

16 listopada 1920 r.... Porażka Wrangla kompletna. Teraz wojska sowieckie będą mogły pobić Petlurę i Bałachowicza...

23 grudnia 1920 r.... Delegacja pokojowa wyjechała z przesądzoną najzupełniej sprawą kresów wschodnich.

22 stycznia 1921 r.... Pomimo wszelkich starań i zabiegów, nie udało się wyjednać u ministra spraw zagranicznych ks. Sapiehy delegowania przedstawicieli z Białorusi do Rygi, chociażby w charakterze rzeczoznawców, wówczas gdy kresy ukraińskie i litewskie takich przedstawicieli swych interesów posiadały... Ale mnie to w najwyższym stopniu oburzało, iż obecnie kiedy Liga Narodów wzywa nie wiem kogo: gruzinów, kałmyków, bodaj zulusów i hotentotów do samookreślenia swej narodowości i przynależności państwowej, jedynie Białorus miała być pominięta i samowolnie w Rydze poćwiartowana, gdy kilkomiljonowa ludność polska w niej ciąży ku Polsce, a białoruska dopomina się wciąż pozostania w całości swych granic i prawa wypowiedzenia się bądź ku wschodowi, bądź ku zachodowi, ale zawsze niepodzielnie. Postanowiłem zatem robić, co tylko można, aby wyjść z tego błędnego koła, ku czemu dało mnie dużo animuszu spotkanie w Warszawie z Romanem Skirmunttem, którego uważałem jakby za stworzonego do spełnienia tej misji, który pomimo,

Pierwszem a rychłem ustępstwem będą ogolone brody, jakby Kościół łaciński nie znał brodatych kapucynów, kamedułów, serwitów, asumpcjonistów i in. Po niem pójdą kolejno inne.

Słowem zamiast nasilenia, widzimy, po dziesięciu latach, rosnący *defetyzm*.

*

Ostatnie w sprawie unijnej *Motu proprio*, Piusa XI jest nadzwyczajnej wagi. Wprowadzonych zmian, o jakich prasa codzienna już pisała, poruszać tu nie będziemy. Nadmienimy tylko przez nią pominięte. A więc schodzi już definitywnie z widowni nazwa obrządku grecko-katolickiego, który w ręku bazylianów ujawnił zgoła niepokojące tendencje coraz większego upodobnienia się do obrządku łacińskiego. Obrządek „gr.-katolicki” nazywać się odtąd będzie *słowiańsko-bizantyńskim*, mimo że mianem bizantyńszemu pewni publicyści we Lwowie i Wilnie gotowi już byli straszyć małe dzieci. Dalej Pius XI gwarantuje temu obrządkowi całkowitą *nietykalność*. Jeszcze znamiennejszym jest nakaz drukowania w Rzymie ksiąg liturgicznych dla obrządku wschodniego, bo *implicite* zawiera on najwyższe a niedwuznaczne przyznanie legalności *synodalnej* formy obrządku słowiańsko-bizantyńskiego, która jedna potrafi tylko zabezpieczyć go przed infiltracjami łacińskimi, a była przez część prasy ukraińskiej we Lwowie, a polskiej—w Wilnie bezwzględnie zwalczana.

Jednak tylko naiwny może dziś sądzić, że unijne *Motu proprio* Piusa XI będzie miarodajnym, chociażby dla katolików. Doświadczenie poucza oddawna, że ani krótkie (*breve*), ani długie (*encykliki*) listy papieskie mało potrafią coś zmienić u nas w stanie rzeczy w dziedzinie unijnej. Nic a nic one nie zmienia! Wszystko zostanie jak było, jeśli nie będzie szło ku gorszemu. Właściwie będzie tak, jak zadecyduje tu wszechpotężna endecja. U nas przecie nie „Gazeta Warszawska” orjentuje się w rzeczach kościelnych według „Przeglądu Katolickiego”, lecz ten czerpie dla siebie natchnienie, treść i wskazówki z organu Dmowskiego, Wasilewskiego, Grabskiego..., krocząc za nim wiernie na pasku.

Takie oto są niewesołe perspektywy...

Vigilans.

Niedoszła reforma sądowa

(Feljeton).

Stała się rzecz w dziejach sądownictwa wileńskiego, można powiedzieć, straszna. W każdym razie niesłychana od początku naszej ery chrześcijańskiej. Może kiedyś w głębokiej starożytności było coś podobnego, ale o tem annale i kroniki milczą.

Oto—dnia 26 marca anno Domini 1935 wydano w naszym Pałacu Sprawiedliwości groźny edykt, mocą którego skazano na zagładę około setki ludzi obojga płci, pełniących pożyteczne, acz skromne funkcje sekretarek i sekretarzy adwokackich. Prostu edykt zabronił całemu sekretarjatowi adwokackiemu dostępu do akt sądowych. Niech sobie sami adwokaci kopują akta w sądzie—i basta. Równało się to zgilotynowaniu całego stanu sekretarskiego przy palestrze. Za jednym pociągnięciem pióra sto zgórą osób zostaje bez chleba, bez mięsa, bez piwa, bez wódki, bez dachu nad głową, bez łóżka i bez ubrania.

Wrażenie edyktu było wstrząsające. Wielki hall sądowy na pierwszym piętrze przypominał pokład statku, który tonie na środku oceanu. Skupili się tam razem wszyscy sekretarze o ponurych minach i wszystkie sekretarki, którym lży obmyły szminkę. Mężczyźni co słabsi szlochali również. Słychać było głosy:

— I cóż my, biednieńcy, teraz będziemy robili?... Wypadnie zdychać z głodu.

— Przecież ja nic innego nie umiem, jak tylko przepisywać akta. Dziesięć lat nic innego nie robię. Gdzie ja się teraz podzieję?...

— A jeszcze mam starą matkę na utrzymaniu. Kto o niej teraz pomyśli?...

— Chodźmy wszyscy nad Wilję i rzućmy się do wody. Może ten znak rozpaczy wrzusi tego, kto wydał taki przepis.

Najwięcej płakała panna Janeczka, urodziwa sekretarka jednego mecenasa.

— Nie płacz, Janeczko, — pocieszała ją koleżanka, — ciebie mecenas nie wyrzuci, bo ty mu jesteś potrzebna...

— Kiedy ja mu już nie jestem potrzebna, jako sekretarka ..

że przyjechał do Warszawy w bardzo poważnym interesie, jednak ze zwykłą ofiarnością, przyciskany przezemnie, zgodził się na tę wyprawę: szło więc tylko o wyrobienie glejtu do Rygi. Udałem się do ministerjum spraw zagranicznych na Miodową, do ministra Piltza.

Trafiłem źle... Przychodzę wieczorem... Wobec dobrego nastroju ministra zażądałem od niego, aby dla nas zrobił co dobrego, powołując się na dawne jego stosunki i sympatię dla naszego kraju, jeszcze za redaktorstwa „Kraju”. Piltz się zastrzegł, że stanowisko Dąbskiego w Rydze jest zupełnie wyłączone: opiera się o większość sejmową, mało dba o ministra spraw zagranicznych, wiedząc że w sejmie absolutorium zawsze otrzyma; jest zupełnie samowładny, kogo chce, tego puszcza do Rygi, kogo nie chce, nie puszcza, jak np. nie puścił delegacji sejmowej, że np., wzywał dla spraw Białorusi Lednickiego, lecz ten nie pojechał, motywując swoją odmowę stanowiskiem odpowiedzialnym jakoby posła polskiego w Moskwie, więc że i obecnie tylko, jako delegat

ządu polskiego byłby gotów jechać, a nie jako zawzwany tylko przez p. Dąbskiego, co według mnie było błędem... Ale to się już stało i Sapięha pod żadnym warunkiem paszportów delegatom naszym nie wyda, ale gdy Sapięha 1-go lutego z Piłsudskim wyjedzie do Paryża i ministerjum przejdzie pod zarząd Piltza, ten zaryzykuje i ofiaruje się wydać papier urzędowy i obok tego list prywatny 2-m delegatom naszym, tudzież prawo przejazdu przez Wilno i Dyneburg, jako agentom dyplomatycznym do Rygi. Naturalnie z wielką wdzięcznością przyjąłem to oświadczenie ministra i nazajutrz udałem się na Długą Nr. 50 i zakomunikowałem prezydjum organizacyj kresowych wszystko, co udało się zrobić dla wysłania delegatów od Białorusi na konferencję ryską. Zauważyłem pewne jakby zdetonowanie, że to, co potrzeba, zrobiło się bez ich udziału i wiedzy, uznali jednak, że zaniedbanie tej sprawy zawszeby rzuciło pewien cień na działalność prezydjum naszych organizacyj, żep. Skirmuntt bezwątpienia bardzo zdolny i pożądanym byłby jako rzecznik intere-

— No, to się z tobą ożeni.

I długo tak lamentowali i biedowali sekretarze adwokacy wraz z sekretarkami, aż jeden z nich wskoczył na ławkę i stamtąd wygłosił przemówienie.

— Koleżanki i koledzy. Raz kozie śmierć, tak, raz kozom śmierć...

— Dlaczego tylko kozom,—pisała któraś.

— Jeżeli mówię raz kozom śmierć, to nie względem koleżanek, lecz takie jest starożytne przysłowie, które może się tyczyć i każdego z nas. Otóż umierać, tak umierać, ale przedtem musimy się upewnić, czy niema jeszcze jakiegoś ratunku. Wybierzmy delegację, która poprosi o przyjęcie tam na górze u Pana Prezesa i powie w naszym imieniu, że przecie my nic nie jesteśmy winni w tej sprawie, że pracujemy uczciwie od tylu lat i żadnej przykrości ani nieporozumienia z naszego powodu nigdy nie było, że tylko przez nas i dzięki nam adwokaci coś niecoś znają sprawy przy wystąpieniach w sądach. Wszystko to powiemy na górze, duszę swoją otworzymy i może nastąpi jakieś zmilowanie. Kto z kolegów zgadza się na wystanie delegacji, niech podniesie rękę do góry!...

— Wszyscy wszyscy,—krzyknął solidarnie cały sekretariat adwokacki i podniósł obie ręce do góry.

— A kto się zgadza pójść w delegacji do Pana Prezesa?...

Głuche milczenie zapanowało w odpowiedzi. Wszyscy się jakoś skurczyli, zmaleli i bezradnie spoglądali jedno na drugie.

— To może pójdzie sekretarz pana dziekana i sekretarka pana wicedziekana, żeby było według urzędu?...

Za nic nie chcieli się zgodzić. Nie zgodził się również inicjator. Błady strach ogarnął pokolei wszystkich kandydatów do delegacji.

Woleli z dwójga złego: raz kozie śmierć!

* * *

Niezwykłe zdenerwowanie i podniecenie ogarnęło również izbę adwokacką, gdy wieść hiobowa pocztą bucikową i kamaszkową rozniosła się po wszystkich zakamarkach sądu. Panowie mecenasii spontanicznie urządzili w apartamentach rady adwokackiej nadzwyczajne zebranie, aby rozważyć powstały konflikt i zająć odpowiednie stanowisko. Pa-

sów krajowych, ale że wybrany już był na takiego delegata przez przydym p. Porębski, więc ten musiałby jechać i t. p. Ubezpieczam, że p. Skirmuntt chętnie się zgodzi na wspólną pracę z p. Porębskim... Na posłanie jednego Skirmuntta przydym by nie przystało, bo Skirmuntt w pracach *Rad Polskich* na kresach udziału nie brał...

Gdy w dodatku i Piltz wyraził obawy, czy cała ta akcja nie jest spóźniona, gdy przytem Skirmuntt zgodził się jechać pod moją tylko presją, i mógł wiele ucierpieć materialnie, mitrząc sprzedaż swych dębów, uważałem za właściwe zwolnić Skirmuntta od jechania, i całą tę akcję złożyć niepodzielnie w ręce przydym... Podczas bytności tej w Warszawie nie było żadnego posiedzenia Związku Polsko Białoruskiego, ale od prezesa M. Obiezińskiego dowiedziałem się, że p. p. Dubiejkowski i Smolicz utrzymują wciąż nastrój przyjazny Polsce, a p. Aleksyuk stracił markę, jako krążący w orbicie Bałachowicza, idącego przecie na flanku *jedynoi i nie-*

dały słowa ostre i namiętne, były też próby rzeczowego rozpoznania wynikłej sytuacji.

— Przyznam się, — rzekł były dziekan i były prezes apelacji, — że nie rozumiem zupełnie ratio legis tego rozporządzenia, zamykającego akta sądowe przed sekretarjatem adwokackim i zmuszającego samych adwokatów do kopjowania tych aktów. Czy to specjalna złośliwość pod naszym adresem, czy też kryje się w tem jakaś myśl głębsza i nam nieznaną?...

— Ja myślę, — mówił ze swadą znany „adwokat, tancerz i społecznik”, — że tutaj może jest myśl głębsza, a mianowicie władzom sądowym chodziło, żeby silniej zespolić adwokatów z magistraturą, aby nawiązać między nimi bliższy, serdeczniejszy kontakt. Jak adwokat przez sześć godzin dziennie będzie przepisywał akta w kancelarji sądowej, to przez to samo będzie się częściej stykał z sędziami i prokuratorami, a cóż wytwarza lepsze i ściślejsze stosunki, niż częste obcowanie?... Tak, szanowni koledzy, rozporządzenie nie jest znowu tak pozbawione sensu, jakby się zdawało.

— Może to i słuszne, — odezwał się przyjaciel poprzedniego mówcy, znakomity karnik, — tylko jak my będziemy funkcjonowali bez naszych sekretarzy?... *Przyjdzie się* samemu po sześć godzin dziennie przepisywać akta. A kiedyż występować przed sądem?... Chyba zatrzymać sekretarzy, żeby za nas występowali. Może na to władze pozwolą. Przecież sądom wszystko jedno, kto występuje, aby tylko ktoś coś pro forma powiedział...

— Ale klientom naszym nie wszystko jedno. Klienci ciągle jeszcze uparcie wierzą, że adwokat może coś zrobić przed sądem i nie tak łatwo ich z tego wyleczyć.

— A ja mam głębokie przekonanie, — odezwał się adwokat, który „z dalekiej krainy, z nad Jordana wód, gdzie cuda się działy, wywodzi swój ród”, — że na dnie tego wszystkiego kryje się kawał antysemicki. Co to komu szkodzi, że biedny żydek zarobi sobie trochę przy przepisywaniu aktów?... Albo również biedna żydówka, która oprócz jednej koszuli nic na sobie nie ma, co?... POCO ten cały hitlerizm wprowadzać w naszych polskich sądach, które wszyscy kochamy, co?...

— Ot i macie panowie rządu pomajowe. Zaw

dielimoi Rosji, ten sam Aleksyuk, który ongi w Mińsku za polskie pieniądze werbował zaciągi białoruskie...

20 lutego 1921 r.... Pisze też Kieniewicz o delegacji organizacji słuckich i mozyrskich pod firmą *Zielonyj Dub*, która wszędzie agituje w Warszawie, jednak przez Piłsudskiego przyjętą nie była. W Rydze od Białorusinów, idących (?) pod auspicjami bolszewików, siedzi jakoby Łastowski. Polska delegacja z Białorusinami tam nie traktuje, uznając za przedstawicieli Białorusi te elementy, z którymi się styka w Warszawie, ale odłam przeciwny, niby od siebie, wydał pełnomocnictwa Joffemu, nieuznane przez delegację polską i zatem Joffe wszędzie występuje tylko w imieniu Rosyjskiej i Ukraińskiej Sowieckiej Rzeczypospolitej (zamilczając *ad extra* Białoruską).

3 marca 1921 r.... Doszły wiadomości z Warszawy, iż delegacja ludności z pod Mińska była przyjęta poraz pierwszy na Wiejskiej przez leaderów

sze mówiłem, że tak będzie, — wrzasnął pewien krewki aplikant, nieobcy prasie opozycyjnej.

— Zwracam uwagę kolegów, — zabrał głos pan dziekan, — że sytuacja jednak jest bardzo poważną. Musimy znaleźć jednak jakieś rozwiązanie i nie możemy siedzieć z założonymi rękami, gdy burzy się warsztat naszej pracy i nie możemy nadal spełniać wysokiego posłannictwa, do którego jest powołana adwokatura.

— A ja głosuję za tem, — zabrał głos pan wicedziekan, — żeby doprowadzić do jakiegoś porozumienia z władzami. Niema to jak układ pojednawczy między stronami.

Gromkie oklaski pokryły słowa mówcy, który się cały wypowiedział w powyższych słowach.

* * *

Gdy oddajemy numer pod prasę, wielki konflikt spowodu sekretarzy adwokackich został polubownie zlikwidowany. Sekretarze będą mieli i nadal dostęp do akt po załatwieniu tylko pewnych formalności: fotografia, świadectwo moralności, szczepienia ospy, świadectwo zdrowia, obywatelstwa polskiego, zapisania się do Ubezpieczalni i t. p.

Pozatem fizjognomje sekretarskie mają być ocenzone przez wszystkich panów prezesów i wice-prezesów sądów. Jeżeli oględziny wypadną dodatnio, to sekretarz może przystąpić do kopjowania papierów.

Bolesław Szyszkowski.

Austrjackie gadanie.

Żyjemy w epoce ostrych konfliktów, nic więc dziwnego, że i wileńskie „Słowo” nie uniknęło zatargu z Galicją, przemianowaną dzisiaj na Małopolskę.

Zacząło się od raków. Pan Wł. Zimnicki napisał broszurę o „raku i rakostanie ziemi wileńskiej”. Z broszury tej wynika, że raki t. zw. *dlugoszczypcowe*, przywędrowawszy z dorzecza Dniestru na teren Wileńszczyzny wypierają na wodach tutejszych autochtonów, t. j. nasze krajowe raki, które acz tłustsze i mięsiste, nie mogą sobie dać rady z zachłannymi przybyszami, obdarzonymi przez naturę dłuższymi szczypcami.

partji i klubów sejmowych. Złą polszczyzną przemawiała delegacja, ale chyba w piąty pójść musiało posłom sejmowym, gdy usłyszeli: *Panoczki, nie sprzedawajcie nas za złoto, — kiedy wam tego potrzeba, to my sami za siebie zapłacimy.* Jeśli posłowie mieli przodków, to ci musieli się w grobach przewrócić, usłyszawszy, co ich potomkom zarzucają. Była to aluzja do powtarzanej wciąż wersji, że Joffe chciałby oddać szeroką połać kraju, aby tylko Polska wyrzekła się swych praw do części zapasu złota dawnego Banku Państwa. Dąbski zaś nie chce brać kraju, a żąda większego udziału w zapasie złota.

8 marca 1921 r.... W gazetach wiadomość, że 4 marca wydrukowano w *Monitorze* prawo o utworzeniu na terenach, ze wschodu do Polski przyłączonych, trzech województw., podległych rządowi w Warszawie, z zastosowaniem praw, przez Sejm zawotowanych i mogących wybrać posłów do Sejmu warszawskiego. *Zatem jest to nie unja, a aneksja.* Ten kierunek zatem zwyciężył. O żadnej autonomji

„Słowo” zaś umieściło artykułik, omawiający wspomnianą broszurę, podpisany kryptonimem „Ski” i zatytułowany „Rak galileusz”. Z tego powstał *casus belli*.

Zaden kii, wsadzony w mrowisko, nie wywołał tak wstrząsającego efektu, jak ów „Rak galileusz” — w mrowiu małopolan wileńskich. Poobrażali się na śmierć i życie wszyscy ludzie, pochodzący z Galicji, a zamieszkali tutaj. Jeżeli zaś znajdują się tacy, którzy się nie obrazili, to ci na pewno przestali już być galicjanami z ducha i nawyków.

Pewna „rdzenna małopolanka” machnęła do „Słowa” list, pisany krwią i żółcią, który w ustępach cytujemy za „Słowem”.

„Rozstając się dzisiaj po siedmiu latach czytania ze „Słowem”, pragnę zrobić kilka uwag na marginesie artykułiku „Rak galileusz”. Czytając „Słowo” od kilku lat, spotykałam się nieraz z artykułami, które mnie jako rdzenna Małopolanka (w gwarze „Słowa” galileuszkę) bolały.. Używając nazwy „Galicja”, czyni się to z premedytacją, nie uznając zmiany nazwy. Dlaczego? Dlatego, że byli poddani austrjacy ze swoimi wadami i „doktoratami” odpowiadają nazwie „galileusz”, — a o takich tylko tutaj t. zn. w Wilnie, pisze się. Natomiast nie chce się znać Małopolan, tego pokolenia młodego, wychowanego w nowych pojęciach, wyrobionego, starającego się wyzbyć naleciałości zaborczych — ludzi naprawdę najlepszej woli.. Nazwa „Galicja” dawno istnieć przestała.. Dla pokolenia powojennego jest wstrętną, tembardziej odkąd w Wilnie stała się synonimem czegoś niemilego i natrętnego. Mam najdroższych przyjaciół: zapytani przezemnie o powód tej niechęci do Małopolan, odpowiedzieli mi, że przed kilkunastu laty Małopolska zrobiła z Wileńszczyzny kolonię karną, przysyłając całe kadry urzędników i nauczycieli, z których nie wszyscy wzbudziły zaufanie w społeczeństwie tutejszem.. Proszę przestańcie patrzeć na nas przybyszów, jak na ową „kadrę oświatową” sprzed lat kilkunastu; popatrzcie na nas bez uprzedzenia — mamy serca takie, jak wy tutejsi i chęci nie gorsze od waszych: potrafimy kochać waszą ziemię i was”.

Twierdził więc Szanowna Pani, że potrafi kochać naszą ziemię i nas. Boli Panią jednak, jeżeli ktoś używa nazwy „galileusz”, budzącej asocjację z dawną Galicją. I dlatego aż rozstaje się Pani z gazetą, która słowa tego użyła.

Chcielibyśmy wierzyć w miłość Sz. Pani ku nam, lecz w takim razie niepojętem się stało owo wielkie i święte oburzenie z tego powodu, że ktoś wyraził się żartobliwie o małopolanach, którzy jednak nas poswojemu *uraczyli*. Jeżeli Pani jest uczuciowo z nami, to skąd to poczucie osobistej zniewagi, tak silnie wyrażone?... Zdaje mi się, że Sz. Pani w danym wypadku została dotknięta w swoich *uczuciach małopolskich*, a nie w uczuciach do tutejszego kraju.

niema mowy. Wówczas, gdy w zamierzonym urzędzeniu Śląska, po plebiscycie projektowany jest daleko idący ustrój autonomiczny, chociaż lud śląski to Polacy i katolicy, a w tych 3 ch województwach to przeważnie Białorusini i prawosławni. Daj Boże, aby to nie była błędna orientacja.

20 marca 1921 r... Pokój (ryski) zawierał się z rządem, który sam niepewny jutra, umiał jednak zaimponować panom Dąbskim & Comp. i za 30 milionów kupił Białoruś, a traktując w imieniu Białorusi z przedstawicielami *sowieców białoruskich* samozwanczej instytucji, o której nikt na miejscu nie słyszał, do stanowiska rządu podniósł. Jest to nie dzień chwały, a dzień hańby narodowej, za którą oby przyszłość nie karała całego narodu za niepoczytalnych jego przedstawicieli.

Bo dlaczegoż Sz. Panią nie boli, gdy prasa krakowska i lwowska stale i systematycznie traktuje nasz kraj — jakąś wprost arogancką wyższością, z jakimś impertynenckim mentorstwem, a w najlepszym razie z protekcyjną pobłażliwością?... Gdy niemal codzień wytyka nam niekulturalność, brak cywilizacji, nieuctwo (domowe wykształcenie), niefachowość, niechlujstwo, moskalifilstwo i jesze siedem grzechów głównych?.. Czy Sz. Pani napisała do „I. K. C.”, że Pani zrywa z nim stosunki czytelnicze?.. Dopóki tego Sz. Pani nie zrobi, nie uwierzemy w szczerą miłość Pani do nas.

A zresztą cóż nam z tej miłości przyjdzie? Może i rak *suchotapy* kocha raka tutejszego, a napewno kocha nasze jeziora i rzeki, skoro się do nich tak natarczywie pcha, ale naszym rakem *szlachetnym* od tego nie lżej. Cofają się i giną
Szyb.

Ostatni bernardyn miński.

Po wielkiej kasacji klasztorów, której widownią były, wśród za powstaniem styczniowem, ziemie litewsko-białoruskie, szybko wymierały u nas rodziny zakonne. Liczone jednostki z nich w diecezji wileńskiej dożyły początków w. XIX, jeden tylko kanonik laterański, ks. Tadeusz Zawadzki na Antokolu doczekał, lecz nie przeżył wojny światowej. Tymczasem nierównie mniejsza diecezja mińska straciła, jak się dziś okazało, ostatniego mohikanina dopiero d. 9-IV 1924 r. Był nim zgola u nas nieznan, chociaż zgasył *in odore sanctitatis* w Rzymie bernardyn o. Adrjan Osmołowski.

Skąd o tem wiemy?

Właśnie, w dziesięciolecie zgonu świętobliwego mnicha, więc w r. 1934, ukazała się nakładem *Editrice Pia Opera dei fratini di S. Antonio*, w nieznanym mieście włoskiej Lonigo, niewielka książka p. t. *Padre Adriano Osmolovsky dei Frati Minori morto in concetto di santità*. Autorem jej *P. Candido M. Romeri O. F. M.* Najpewniej to jakiś Włoch, chociaż nie jest wyłączone, że ktoś z szeroko rozgałęzionej rodziny naszych Romerów, co się ukrył pod habitem bernardyńskim i mocno się zwłoszczył. Rzecz dedykowana z całą kurtuazją zakonną generałowi (*ministro generale*) tego zakonu.

Umotywowanie dokumentalne nie pozostawia tu nic do życzenia. Ciekawy dla nas jest wstęp, bo ilustruje genezę książki. Otóż pomagali autorowi polski bernardyn o. Rzyński i znany Rosjanin konwertyta, profesor Papieskiego Instytutu Wschodniego w Rzymie, prof. Aleksander ks. Wołkoński, dostarczając mu obaj przekładów dokumentów polskich i rosyjskich. Komisarz odradzającej się prowincji bernardyńskiej w Litwie, o. Czepulis też był zapytywany o źródła, których jednak w Kretyndze, tak odległej od stron rodzinnych o. Adrijana, dziś już nie znalazło się. Szczęśliwszą pod tym względem rękę miał znany badacz przeszłości franciszkańskiej u nas, ks. prof. K. Kantak z Pińska. Pewną pomoc pośrednią mogły skrzętnemu autorowi okazać Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie i Białoruskie Naukowe Towarzystwo w Wilnie, w osobie kustosa Muzeum Antoniego Łuckiewicza, który wypożyczył dwa rzadkie a ciekawe, reprodukowane w książce, widoki dawnego Mohylowa i Mińska, jako *visioni dei Paesi di P. Adriano*.

Właściwa recenzja rozpoczyna się rozdziałem *W ojczyźnie*, gdzie jest dla czytelnika włoskiego szczypta wiadomości o prześladowaniach Polski naogół, a terenów litewsko-białoruskich szczególnie—

przez zaborczy rząd rosyjski. Rzecz ta przedstawiona, jak na pióro Włocha, nieźle. Sądźmy tylko, że autor, wskazując na męstwo i heroizm zakonu św. Bazylego w Mińsku, nie miał na myśli... Makryny Mieczysławskiej.

O. Adrjan Osmołowski urodził się jako syn Jana i Anny z Niedzwiedzkich 13 XII 1838, w kraju i w czasie straszliwej burzy dziejowej nad Kościołem. Na kilka lat przed śmiercią, o. Adrjan w jednym liście określał miejsce swego urodzenia tak: *Ruś albo Biała Ruś (Rutenia o Russia bianca), w prowincji Mohyłowskiej, w powiecie Czerykowskim, w majątku Antonówka, pod rządem rosyjskim, w części należącej do dawnej Polski...* Pochodził ze średnio zamożnej szlachty mohyłowskiej Bończ-Osmołowskich, która cała była *gentis Ruthenae* i niegdyś wiary greckiej...

Ojciec naszego *bambino Pietro* był pułkownikiem służby rosyjskiej. Bardzo skąpe są naogół wiadomości o rodzicach i środowisku, gdzie *piccolo Pietro* rósł i rozwijał się. Jak często bywa, głębszy pozostawiła na synie ślad matka, której śmierć nappełniła go już w wieku sędziwym większym wzruszeniem, czemu dał wyraz w okrzyku: *Mamma morta!* Pewny był jednak, że zmarła ona śmiercią błogosławionych. Ze wspomnień chłopięcych przytoczył raz w liście, jak dwakroć uszedł w tym okresie śmierci, raz od wilków (*in Rutenia bianca i lupi sono molti*), drugi—w pożarze domu rodzinnego.

Zwyczajem zamożnej szlachty ówczesnej, jaka niechętnie posyłała dzieci do szkoły rosyjskiej, nasz *giovinetto* uczył się naprzód w domu, pod kierownictwem nauczyciela, jednak w ciągu dalszym swej edukacji, nie udało się ominąć szkoły rządowej, jaką była szkoła powiatowa w Czerykowie, którą po czterech latach chlubnie ukończył.

I oto *giovane* stanął już wobec sprawy wyboru stanu na całe życie. Iść śladami ojca i zostać pułkownikiem armii zaborczej, nie nęciło go wcale. Pociągała za to idea służby komuś większemu niż carowi rosyjskiemu. Ten ideał widział w zakonie św. Franciszka, ściślej mówiąc u obserwantów, t. j. bernardyń. Nie mogąc wstąpić do nich w Mohylowie, znalazł się za furką ich klasztoru w Mińsku, gdzie przywdział habit i odbył nowicjat, poczem mógł powiedzieć: *Obiit Petrus, natus est Adrianus*, lub z włoska *fra Adriano*. Klasztory bernardyń w Mohylowie i Mińsku należały do litewskiej prowincji św. Kazimierza. Brat Adrjan złożył profesję i pozostał jeszcze dla studjów zakonnych w Mińsku.

Tymczasem nadszedł rok walk rozpacznych i kłeski straszliwej 1863, który omal nie obrócił w niwecz marzeń młodego bernardyna. Klasztor miński został zamknięty, a mnisi rozpedzeni. *Addio amato Convento!* Wobec tego Osmołowski, acz z pięknym świadectwem gwardjana o. Leonarda Moroza, znalazł się na bruku mińskim i musiał znowu rychło powziąć decyzję, co ma z sobą teraz począć. Podobny los spotkał w tym czasie wszystkie klasztory bernardyńskie w Litwie, więc o przenosinach mowy być nie mogło. Kapłanem też jeszcze nie był. Zdejmuje tedy z wielkim bólem serca habit i wstępuje do seminarjum duchownego w Mińsku, gdzie przez trzy lata kontynuuje studja teologiczne i przygotowuje się do kapłaństwa. Ani na jedną atoli chwilę nie porzuca myśli powrotu do bernardyń, lecz nie mogąc reflektować, ze względów politycznych, na konwenty austriackie, niemieckie lub nawet francuskie, decyduje się opuścić na zawsze strony rodzinne i w r. 1866 wyjeżdża do Ziemi świę-

tej, której stróżami od wieków byli właśnie obserwanci.

Z wydanym przez gen. gub. wileńskiego von Kaufmana paszportem zagranicznym, *bez prawa powrotu*, wyruszył via Wilno i Wierzbołowo zagranicę. Przejechał Niemcy, Austrię, Turcję i stanął w Jaffie. Ukończywszy w Ziemi św. studja teologiczne, otrzymał w r. 1868 święcenia kapłańskie. Pracował wiele a pięknie w różnych miastach Palestyny. Bliższa charakterystyka tej pracy stanowi już przedmiot hagjografji. Zewnątrz monotonne życie mnicha bernardyńskiego mało posiada w sobie momentów szczególnie ciekawych. Nadmienimy tylko, że znalazł w Palestynie ziomków, w tej liczbie o. Aleksandra Kromkę *Prov. Lituaniae*, który w r. 1871 utonął w morzu. Że uczył się języka arabskiego. Wreszcie że chorował na złośliwą febrę, co wkońcu spowodowało nakazany mu przez przełożonych powrót do Europy.

Tak w r. 1876 stanął w Wenecji, gdzie został przyjęty do miejscowej prowincji weneckiej św. Antoniego. Cieszył się już tu opinią świętobliwego i nazywany był często *il Padre santo*, *Sant Uomo* i t.d., co mu wcale nie przeszkadzało odznaczać się zawsze humorem, pogodą, ukochaniem młodzieży... Był wprawdzie tułaczem, lecz jedząc nie z jednego pieca chleb, miał też duży zasób przeróżnych wiadomości o czasach, miejscach i ludziach... zwłaszcza o klasztorach prowincji litewskiej. Ponadto był świetnym skrzypkiem. Wiemy jeszcze, że był wyglądu dość niepokaźnego. Stawał się poetą, gdy mówił o uroku celi zakonnej, obdarzając je najczulszemi nazwami: *O celetta mia cara* i in. Z czasem zaczęło zdrowie podupadać. Przyszły ataki paraliżu, częściowa głuchota, połowiczna ślepotą... Radził jednak sobie, uzyskując potrzebne dyspensy od brewjarza i prawo celebrowania z pamięci *la Messa votiva della Madonna oppure di Requiem*. W tym mgłą rezygnacji starczej zasnutym okresie, przeżył kilka dni wielkiej radości: obchodził złoty jubileusz swego kapłaństwa i sześćdziesięciolecie zakonnych obłóczyn i profesji. Niezawodnie czynnikiem radości dla starca było, że ziemie rodzinne odzyskały wolność, które jednak po latach 1919—1920 znalazły się pod stokróż gorszym jarzmem.

Odrębność krajową o. Adrjan odczuwał żywo, zawsze zaznaczając w personaljach, że kolebka jego stała *nella Rutenia bianca (Rutenia bianca o Russia apparteneva una volta alla Polonia)*. W testamencie dla konfratrów z r. 1922 o. Adrjan podpisał się nawet *nativo ruteno*. Rząd rosyjski wypłacał egzultantowi, aż do pierwszych lat wojny światowej, skromną pensję. U schyłku życia, często staruszek mawiał: Umieram na wygnaniu za wiarę katolicką (*Muojo in esilio per la fede cattolica*). Wreszcie d. 9-IV 1934 r. przyszła tu *sorella morte* — siostrzyca śmierć.

Pogrzeb był odpowiedni do wyjątkowego stanowiska i roli nieboszczyka w zakonie i odbył się przy licznych udziałach władz duchownych i świeckich.

Do końca życia o. Adrjan gorąco kochał swój kraj ojczysty i nieraz powtarzał: *dulcis amor patriae*. Po wojnie światowej polscy bernardyni z Galicji próbowali go nakłonić do przyjazdu do Polski, lecz nie wrócił. Czyby zresztą znalazł w konwentach Krakowa, Lwowa, Kalwarji Zebrzydowskiej, Dukli i in. to, co postradał na zawsze w sekularyzowanych potem murach klasztorów: mohylowskiego, mińskiego, wileńskiego, kretyngowskiego, grodzieńskiego... i tylu innych prowincji litewskiej?...

Włoscy bernardyni umieli uczyć godnie ostatniego bernardyna mińskiego.

Fra.

Pamięci o. Marcjana Szaszekwicz.

Wyjątkową tragedję przeżywa dziś tak liczny naród ukraiński. Wszędzie, gdzie jest, walczyć obecnie musi o sam już byt, o prawo do posiadania nawet własnego imienia, o najelementarniejsze wprost prawo rozwoju. Szczególnie ostatniemi czasy wzmogła się ta zaciekle, tchnąca nienawiścią, a żadna eksterminacji samej nazwy tego narodu, nagonka anti-ukraińska. Ławą na Ukraińców idą dziś, zapomniawszy na tę chwilę swe własne spory, wszyscy: biurokracja i społeczeństwo, sanacja i endecja, nasłani moskalofile i zbałamuceni Łemkowie, Rosjanie i nawet Żydzi...

Grono to dziś powiększył jeszcze nowy cerkiewny rządca Łemkowszczyzny, o. dr. B. Maściuch, który się wslawił swym przepojonym serwilizmem „listem pasterskim”.

Do doskonałą tedy powziął myśl poważny publicysta ukraiński *Osip Hodunko*, wydając swą krótką, a mimo to jakże wymowną *Zapowid' pro o. Markijana Szaszekwicza* (Lwów 1934), którego imię w największem poszanowaniu i serdecznej wdzięczności przechować winno na zawsze społeczeństwo ukraińskie. Dziś, gdy rosyjskość, krajowa i napływowa, chce powetować u nas swe straty kosztem Ukraińców, a nawskroś moskiewska nasza dyzunja szuka rewanżu na obolałem ciele galicyjskiej Cerkwi gr.-kat., godną a słuszną jest rzeczą ze strony Ukraińców zbliżyć się w duchu do takich świetlanych postaci, jak o. Szaszekwicz, by wzbogacić swą myśl i serce rozważaniem spuścizny wielkiego syna ojczyzny.

Skromne są ilustracje, jakie zdobiją tę niewielką broszurę, dają jednak pojęcie dostateczne, jak wyglądał o. Szaszekwicz. Była to nawet zewnętrznie wspaniała postać, o wysokiem czole, pełnych niepożytej energii oczach..., słowem *księżę niezłomny* ukraińskiego ducha, acz pochodzący tylko z rodziny wiejskiego proboszcza na Podlasiu. On swem pełnem poświęceniem dźwignął bardzo już nadwątlony w Galicji organizm narodu ukraińskiego na poziom świadomości narodowej i godnego jej życia. Szedł do tego celu, karmiąc słowem ojczystem swych rodaków. Nie było wówczas *ani jednej* szkoły ukraińskiej, *ani jednej* książki ukraińskiej, a jeśli jaka była, to pisana ohydny żargonem polsko-moskiewskim, okraszonym szpetnemi germanizmami. (Kazania w cerkwiach lwowskich głoszone dotychczas *tylko* po polsku!). Pracę w tym kierunku poprzedziły poważne studja nad piśmiennictwem łacińskim, niemieckim, polskiem...

Ile się nacierpiał o. Szaszekwicz! Głodował nieraz na najgorszych parafjach. Lecz praca jego daremną nie była. Wytrwał. Na Pokrowy 1835 r. po raz pierwszy o. Szaszekwicz wygłosił u św. Jura we Lwowie kazanie po ukraińsku. Było to rzucenie głazu granicznego. W parze z tem szła wytrwała praca wydawnicza, ciągle utrudniana, bo do *Wiosny narodów* roku 1848 było jeszcze daleko... Zresztą doczekali się jej następcy jego. W r. 1843 o. Szaszekwicz umarł z nabytej wśród bied i niedostatków choroby piersiowej, tak dobrze znanej zapominającym całkiem o sobie ludziom wielkich a twórczych idei...

Nie można bez rozrzewnienia patrzeć na podobiznę jego pogrzebu. Oto sunie po żyznej glebie ukraińskiej prymitywny karawan z wysoko ustawioną trumną, ciągniony szóstką białych wołów..., a oto-

Bo dla czegoż Sz. Panią nie boli, gdy prasa krakowska i lwowska stale i systematycznie traktuje nasz kraj — jakąś wprost arogancką wyższością, z jakimś impertynenckim mentorstwem, a w najlepszym razie z protekcyjną pobłażliwością?... Gdy niemal codzień wytyka nam niekulturalność, brak cywilizacji, nieuctwo (domowe wykształcenie), niefachowość, niechlujstwo, moskalifilstwo i jesze siedem grzechów głównych?.. Czy Sz. Pani napisała do „I. K. C.”, że Pani zrywa z nim stosunki czytelnicze?.. Dopóki tego Sz. Pani nie zrobi, nie uwierzymy w szczerą miłość Pani do nas.

A zresztą cóż nam z tej miłości przyjdzie? Może i rak *sucholapy* kocha raka tutejszego, a napewno kocha nasze jeziora i rzeki, skoro się do nich tak natarczywie pcha, ale naszym rakiem *szlachetnym* od tego nie lżej. Cofają się i giną
Szyb.

Ostatni bernardyn miński.

Po wielkiej kasacie klasztorów, której widownią były, wślad za powstaniem styczniowem, ziemie litewsko-białoruskie, szybko wymierały u nas rodziny zakonne. Liczone jednostki z nich w diecezji wileńskiej dożyły początków w. XIX, jeden tylko kanonik lateraneński, ks. Tadeusz Zawadzki na Antokolu do czekał, lecz nie przeżył wojny światowej. Tymczasem nierównie mniejsza diecezja mińska straciła, jak się dziś okazało, ostatniego mohikanina dopiero d. 9-IV 1924 r. Był nim zgoła u nas nieznan, chociaż zgłosił *in odore sanctitatis* w Rzymie bernardyn o. Adrjan Osmołowski.

Skąd o tem wiemy?

Właśnie, w dziesięciolecie zgonu świętobliwego mnicha, więc w r. 1934, ukazała się nakładem *Editrice Pia Opera dei fratri di S. Antonio*, w niezna- cznej mieścinie włoskiej Lonigo, niewielka książka p. t. *Padre Adriano Osmolovsky dei Frati Minori morto in concetto di santità*. Autorem jej *P. Candido M. Romeri O. F. M.* Najpewniej to jakiś Włoch, chociaż nie jest wyłączone, że ktoś z szeroko rozgą- łowanej rodziny naszych Romerów, co się ukrył pod habitem bernardyńskim i mocno się zwłozczył. Rzecz dedykowana z całą kurtuazją zakonną generałowi (*ministro generale*) tego zakonu.

Umotywowanie dokumentalne nie pozostawia tu nic do życzenia. Ciekawy dla nas jest wstęp, bo ilustruje genezę książki. Otóż pomagali autorowi polski bernardyn o. Ryziński i znany Rosjanin konwertyta, profesor Papieskiego Instytutu Wschodniego w Rzymie, prof. Aleksander ks. Wołkoński, dostarczając mu obaj przekładów dokumentów polskich i rosyjskich. Komisarz odradzającej się prowincji bernardyńskiej w Litwie, o. Czepulis też był zapytywany o źródła, których jednak w Kretyndze, tak odległej od stron rodzinnych o. Adrijana, dziś już nie znalazło się. Szczęśliwszą pod tym względem rękę miał znany badacz przeszłości franciszkańskiej u nas, ks. prof. K. Kantak z Pińska. Pewną pomoc pośrednią mogły skrzętnemu autorowi okazać Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie i Białoruskie Naukowe Towarzystwo w Wilnie, w osobie kustosa Muzeum Antoniego Łuckiewicza, który wypożyczył dwa rzadkie a ciekawe, reprodukowane w książce, widoki dawnego Mohyłowia i Mińska, jako *visioni dei Paesi di P. Adriano*.

Właściwa recenzja rozpoczyna się rozdziałem *W ojczyźnie*, gdzie jest dla czytelnika włoskiego szczypta wiadomości o prześladowaniach Polski naogół, a terenów litewsko-białoruskich szczególnie—

przez zaborczy rząd rosyjski. Rzecz ta przedstawiona, jak na pióro Włocha, nieźle. Sądzymy tylko, że autor, wskazując na męstwo i heroizm zakonu św. Bazylego w Mińsku, nie miał na myśli... Makryny Mieczysławskiej.

O. Adrjan Osmołowski urodził się jako syn Jana i Anny z Niedzwiedzkich 13 XII 1838, w kraju i w czasie straszliwej burzy dziejowej nad Kościołem. Na kilka lat przed śmiercią, o. Adrjan w jednym liście określał miejsce swego urodzenia tak: *Ruś albo Biała Ruś (Rutenia o Russia bianca), w prowincji Mohyłowskiej, w powiecie Czerykowskim, w majątku Antonówka, pod rządem rosyjskim, w części należącej do dawnej Polski...* Pochodził ze średnio zamożnej szlachty mohyłowskiej Bończ-Osmołowskich, która cała była *gentis Ruthenae* i niegdyś wiary greckiej...

Ojciec naszego *bambino Pietro* był pułkownikiem służby rosyjskiej. Bardzo skąpe są naogół wiadomości o rodzicach i środowisku, gdzie *piccolo Pietro* rósł i rozwijał się. Jak często bywa, głębszy pozostawiła na synie ślad matka, której śmierć nappełniła go już w wieku sędziwym większym wzruszeniem, czemu dał wyraz w okrzyku: *Mamma morta!* Pewny był jednak, że zmarła ona śmiercią błogosławionych. Ze wspomnień chłopięcych przytoczył raz w liście, jak dwakroć uszedł w tym okresie śmierci, raz od wilków (*in Rutenia bianca i lupi sono molti*), drugi—w pożarze domu rodzinnego.

Zwyczajem zamożnej szlachty ówczesnej, jaka niechętnie posyłała dzieci do szkoły rosyjskiej, nasz *giovinetto* uczył się naprzód w domu, pod kierownictwem nauczyciela, jednak w ciągu dalszym swej edukacji, nie udało się ominąć szkoły rządowej, jaką była szkoła powiatowa w Czerykowie, którą po czterech latach chlubnie ukończył.

I oto *giovane* stanął już wobec sprawy wyboru stanu na całe życie. Iść śladami ojca i zostać pułkownikiem armji zaborczej, nie nęciło go wcale. Pociągała za to idea służby komuś większemu niż carowi rosyjskiemu. Ten ideał widział w zakonie św. Franciszka, ściślej mówiąc u obserwantów, t. j. bernardyńców. Nie mogąc wstąpić do nich w Mohyłowiu, znalazł się za furką ich klasztoru w Mińsku, gdzie przywdział habit i odbył nowicjat, poczem mógł powiedzieć: *Obiit Petrus, natus est Adrianus*, lub z włoska *fra Adriano*. Klasztory bernardyńców w Mohyłowiu i Mińsku należały do litewskiej prowincji św. Kazimierza. Brat Adrjan złożył profesję i pozostał jeszcze dia studjów zakonnych w Mińsku.

Tymczasem nadszedł rok walk rozpacznych i kłęski straszliwej 1863, który omal nie obrócił w niwecz marzeń młodego bernardyna. Klasztor miński został zamknięty, a mnisi rozpedzeni. *Addio amato Convento!* Wobec tego Osmołowski, acz z pięknem świadectwem gwardjana o. Leonarda Moroza, znalazł się na bruku mińskim i musiał znowu rychło powziąć decyzję, co ma z sobą teraz począć. Podobny los spotkał w tym czasie wszystkie klasztory bernardyńskie w Litwie, więc o przenosinach mowy być nie mogło. Kapłanem też jeszcze nie był. Zdejmuje tedy z wielkim bólem serca habit i wstępuje do seminarjum duchownego w Mińsku, gdzie przez trzy lata kontynuuje studja teologiczne i przygotowuje się do kapłaństwa. Ani na jedną atoli chwilę nie porzuca myśli powrotu do bernardyńców, lecz nie mogąc reflektować, ze względów politycznych, na konwenty austriackie, niemieckie lub nawet francuskie, decyduje się opuścić na zawsze strony rodzinne i w r. 1866 wyjeżdża do Ziemi świę-

tej, której stróżami od wieków byli właśnie obserwanci.

Z wydanym przez gen. gub. wileńskiego von Kaufmana paszportem zagranicznym, *bez prawa powrotu*, wyruszył via Wilno i Wierzbołowo zagranicę. Przejechał Niemcy, Austrię, Turcję i stanął w Jaffie. Ukończywszy w Ziemi św. studia teologiczne, otrzymał w r. 1868 święcenia kapłańskie. Pracował wiele a pięknie w różnych miastach Palestyny. Bliższa charakterystyka tej pracy stanowi już przedmiot hajjografji. Zewnątrz monotonne życie mnicha bernardyńskiego mało posiada w sobie momentów szczególnie ciekawych. Nadmienimy tylko, że znalazł w Palestynie ziomków, w tej liczbie o. Aleksandra Kromkę *Prov. Lituaniae*, który w r. 1871 utonął w morzu. Że uczył się języka arabskiego. Wreszcie że chorował na złośliwą febrę, co wkońcu spowodowało nakazany mu przez przełożonych powrót do Europy.

Tak w r. 1876 stanął w Wenecji, gdzie został przyjęty do miejscowej prowincji weneckiej św. Antoniego. Cieszył się już tu opinią świętobliwego i nazywany był często *il Patre santo*, *Sant Uomo* i t.d., co mu wcale nie przeszkadzało odznaczać się zawsze humorem, pogodą, ukochaniem młodzieży... Był wprawdzie tułaczem, lecz jedząc z jednego pieca chleb, miał też duży zasób przeróżnych wiadomości o czasach, miejscach i ludziach... zwłaszcza o klasztorach prowincji litewskiej. Ponadto był świetnym skrzypkiem. Wiemy jeszcze, że był wyglądu dość niepokaźnego. Stawał się poetą, gdy mówił o uroku celi zakonnej, obdarzając je najczulszemi nazwami: *O celetta mia cara* i in. Z czasem zaczęło zdrowie podupadać. Przyszły ataki paralizu, częściowa głuchota, połowiczna ślepotą... Radził jednak sobie, uzyskując potrzebne dyspensy od brewjarza i prawo celebrowania z pamięci *la Messa votiva della Madonna oppure di Requiem*. W tym mgłą rezygnacji starczej zasnutym okresie, przeżył kilka dni wielkiej radości: obchodził złoty jubileusz swego kapłaństwa i sześćdziesięciolecie zakonnych obłóczyn i profesji. Niezawodnie czynnikiem radości dla starca było, że ziemie rodzinne odzyskały wolność, które jednak po latach 1919—1920 znalazły się pod storkoć gorszym jarzmem.

Odrębność krajową o. Adrjan odczuwał żywo, zawsze zaznaczając w personaljach, że kolebka jego stała *nella Rutenia bianca (Rutenia bianca o Russia apparteneva una volta alla Polonia)*. W testamencie dla konfratrów z r. 1922 o. Adrjan podpisał się nawet *nativo ruteno*. Rząd rosyjski wypłacał egzulantowi, aż do pierwszych lat wojny światowej, skromną pensję. U schyłku życia, często starszek mawiał: Umieram na wygnaniu za wiarę katolicką (*Muojo in esilio per la fede cattolica*). Wreszcie d. 9-IV 1934 r. przyszła tu *sorella morte* — siostrzyca śmierć.

Pogrzeb był odpowiedni do wyjątkowego stanowiska i roli nieboszczyka w zakonie i odbył się przy licznych udziałach władz duchownych i świeckich.

Do końca życia o. Adrjan gorąco kochał swój kraj ojczysty i nieraz powtarzał: *dulcis amor patriae*. Po wojnie światowej polscy bernardyni z Galicji próbowali go nakłonić do przyjazdu do Polski, lecz nie wrócił. Czyby zresztą znalazł w konwentach Krakowa, Lwowa, Kalwarji Zebrzydowskiej, Dukli i in. to, co postradał na zawsze w sekularyzowanych potem murach klasztorów: mohylowskiego, mińskiego, wileńskiego, kretyngowskiego, grodzieńskiego... i tylu innych prowincji litewskiej?..

Włoscy bernardyni umieli uczcić godnie ostatniego bernardyna mińskiego.

Fra.

Pamięci o. Marcjana Szaszkiewicza.

Wyjątkową tragedję przeżywa dziś tak liczny naród ukraiński. Wszędzie, gdzie jest, walczyć obecnie musi o sam już byt, o prawo do posiadania nawet własnego imienia, o najelementarniejsze wprost prawo rozwoju. Szczególnie ostatnimi czasy wzmożła się ta zaciekle, tchnąca nienawiścią, a żadna eksterminacji samej nazwy tego narodu, nagonka antiukraińska. Ławą na Ukraińców idą dziś, zapomniawszy na tę chwilę swe własne spory, wszyscy: biurokracja i społeczeństwo, sanacja i endecja, nasłani moskalofile i zbałamuceni Łemkowie, Rosjanie i nawet Żydzi...

Grono to dziś powiększył jeszcze nowy cerkiewny rządca Łemkowszczyzny, o. dr. B. Maściuch, który się wslawił swym przepojonym serwilizmem „listem pasterskim”.

Doskonałą tedy powziął myśl poważny publicysta ukraiński *Osip Hodunko*, wydając swą krótką, a mimo to jakże wymowną *Zapowiad' pro o. Markijana Szaszkiewicza* (Lwów 1934), którego imię w największym poszanowaniu i serdecznej wdzięczności przechować winno na zawsze społeczeństwo ukraińskie. Dziś, gdy rosyjskość, krajowa i napływowa, chce powetować u nas swe straty kosztem Ukraińców, a nawskroś moskiewska nasza dyzunja szuka rewanżu na obolałym ciele galicyjskiej Cerkwi greck., godną a słuszną jest rzeczą ze strony Ukraińców zbliżyć się w duchu do takich świetlanych postaci, jak o. Szaszkiewicz, by wzbogacić swą myśl i serce rozważaniem spuścizny wielkiego syna ojczyzny.

Skromne są ilustracje, jakie zdobiją tę niewielką broszurę, dają jednak pojęcie dostateczne, jak wyglądał o. Szaszkiewicz. Była to nawet zewnętrznie wspaniała postać, o wysokim czole, pełnych niepożytej energii oczach..., słowem *książe niezłomny* ukraińskiego ducha, acz pochodzący tylko z rodziny wiejskiego proboszcza na Podlasiu. On swem pełnem poświęceniem dźwignął bardzo już nadwątłony w Galicji organizm narodu ukraińskiego na poziom świadomości narodowej i godnego jej życia. Szedł do tego celu, karmiąc słowem ojczystem swych rodaków. Nie było wówczas *ani jednej* szkoły ukraińskiej, *ani jednej* książki ukraińskiej, a jeśli jaka była, to pisana ohydny żargonem polsko-moskiewskim, okraszonym szpetnemi germanizmami. (Kazania w cerkwiach lwowskich głoszone dotychczas *tylko* po polsku!). Pracę w tym kierunku poprzedziły poważne studia nad piśmiennictwem łacińskim, niemieckim, polskim...

Ile się nacierpiał o. Szaszkiewicz! Głodował nieraz na najgorszych parafjach. Lecz praca jego daremną nie była. Wyrwał. Na Pokrowy 1835 r. po raz pierwszy o. Szaszkiewicz wygłosił u św. Jura we Lwowie kazanie po ukraińsku. Było to rzucenie głązu granicznego. W parze z tem szła wytrwała praca wydawnicza, ciągle utrudniana, bo do *Wiosny narodów* roku 1848 było jeszcze daleko... Zresztą doczekali się jej następcy jego. W r. 1843 o. Szaszkiewicz umarł z nabytej wśród bied i niedostatków choroby piersiowej, tak dobrze znanej zapominającym całkiem o sobie ludziom wielkich a twórczych idei...

Nie można bez rozrzewnienia patrzeć na podobiznę jego pogrzebu. Oto sunie po żyznej glebie ukraińskiej prymitywny karawan z wysoko ustawioną trumną, ciągniony szóstką białych wołów..., a oto-

czony krocząca w zgodzie i żalobie chliborobską rzeszą wsi ukraińskiej...

W II. 50 po śmierci przeniesiono zwłoki ks. Szaszkiwicza do Lwowa i pochowano na cmentarzu Łyczakowskim. W r. 1906 stanął tu piękny pomnik, w r. 1911 zaś wzniesiono 15-metrowy krzyż żelazny w miejscu jego urodzin, w Białej Górze na Podlasiu. W latach późniejszych w lwowskich cerkwiach św. Ducha i św. Jura wmurowano tablice pamiątkowe.

Do pięknej swej broszury użył słusznie Hodunko jako motta zwrotki z Iwana Franka: *Łysz borysia—ne myrsia*, która znaczy tylko tyle, że moralnym obowiązkiem jest walczyć, gdy konieczność walki narzuca zewnętrzna przemoc i zachłanność.

Wat.

Bibliografia.

Księga pamiątkowa ku uczczeniu 400 ej rocznicy wydania pierwszego Statutu Litewskiego. Po redakcją dr. St. Ehrenkreutz. Rozprawy Wydziału III T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Wilno 1935.

W r. 1929, w czterechsetną rocznicę wydania pierwszego Statutu Litewskiego, w kołach, interesujących się przeszłością naszego kraju, rozeszła się wiadomość, że ku uczczeniu wspomnianej rocznicy prof. St. Ehrenkreutz, wykładający na uniwersytecie St. Batoiego historję prawa litewskiego, zamierza wydać niebawem księgę zbiorową, zawierającą szereg rozpraw o Statucie Litewskim. Wiadomość okazała się jednakże grubo przedwczesną, gdyż zamierzone wydawnictwo doszło do skutku dopiero w roku bieżącym, czyli o sześć lat później.

Należało oczekiwać, że podstawą księgi pamiątkowej będą prace jej redaktora, jako specjalisty w zakresie historii prawa litewskiego, jednakże liczne zajęcia i obowiązki, któremi jest obciążony prof. Ehrenkreutz, nie pozwoliły mu widocznie zająć się badaniami naukowymi, to też swój udział w wydawnictwie ograniczył jedynie do krótkiej przedmowy własnego pióra oraz do zgromadzenia dość obfitego materiału w postaci rozpraw żyjących i zmarłych historyków i prawników.

Kilka z tych rozpraw, a mianowicie St. Kutrzeby „Charakter i wartość unji polsko litewskiej”, H. Łowmiańskiego „Uwagi w sprawie podłoża społecznego i gospodarczego unji jagiellońskiej”, oraz J. Adamusa „Państwo Litewskie w latach 1386—1398”, pozostaje w dość luźnym związku z myślą przewodnią księgi, która została poświęcona uczczeniu czterechsetnej rocznicy wydania pierwszego Statutu Litewskiego. Należało więc oczekiwać, że na zawartość wydawnictwa złożą się wyłącznie badania nad dawnym prawem litewskim *sensu stricto*. Ale oczywiście forma uczczenia nie jest kwestją ważną, tembardziej, jeśli wymienione prace, dotyczące historii ustroju W. Ks. Litewskiego posiadają wartość niepoślednią. Ciekawe są zwłaszcza wywody doc. J. Adamusa, który zajmuje stanowisko odrębne w swym poglądzie na charakter unji krewskiej, uważanej dotychczas przez naukę polską za akt inkorporacyjny.

W ściśle prawniczej części księgi znajdujemy

rozprawy dr. W. Namysłowskiego „Pozasądowe organy porządku prawnego w krajach południowo-słowiańskich i polsko-litewskich”, K. Korany'ego „O niektórych postanowieniach karnych Statutu Litewskiego z r. 1529”, R. Taubenschlaga „Pozew w I i II Statucie Litewskim”, W. Hejnosza „Kilka uwag o „niewoli” w I Statucie Litewskim” oraz prof. Fr. Bossowskiego o wpływie ustawodawstwa bizantyńskiego na statut litewski.

Dwie rozprawy wreszcie ś. p. prof. St. Ptaszyckiego p.t. „Pierwsze wydanie trzeciego Statutu Litewskiego i jego przeróbki” oraz „Konfederacja Warszawska r. 1573 w trzecim Statucie Litewskim” wkraczają w dziedzinę historyczno-bibliograficzną.

Chociaż więc ze znacznem opóźnieniem, jubileusz Statutu Litewskiego został jednak, jak widzimy, uczczony godnie i poważnie. Zasluga to jest w pierwszym rządzie T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie, które podjęło się wydania Księgi Pamiątkowej i nie zniechęciło się zwłoką w jej opracowaniu.

cz.

Svenčionių lietuvių gimnazija 1915—1934. Vilnius 1935.

Litewskie gimnazjum święciańskie w roku 1934 obchodziło 15-lecie swego istnienia i w związku z tem wydano (przez kogo?) broszurę, niby zarys historyczny doli i niedoli tegoż gimnazjum. Broszura pozostawia nieco do życzenia... Opis powstawania gimnazjum nie jest ścisły, rozwój zaś uczelni, który naprawdę przechodził po linii krzywej, należyte nie został uwypuklony. Pozatem gimnazjum to miało i ma jeszcze inne doniosłe znaczenie, co się widzi na terenie powiatu—o tem ani słowa w omawianej broszurze nie znajdujemy.

Widocznie autor (przedmowa zawarta w broszurze, nie usprawiedliwia go) przedmiotu należyte nie zgłębił, jak również nie umiał szukać materiału. Obfity materiał mógłby znaleźć w wileńskiej prasie litewskiej z lat 1919—1934. Wprawdzie zdajemy sobie sprawę z tego, że nie o wszystkim można pisać w dzisiejszych warunkach, ale autor nawet możliwości nie wykorzystał.

Niezmiernie ciekawe dzieje litewskiego gimnazjum w Święcianach zasługują na bardziej staranne opracowanie.

V. Sak.

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkiejnocy tradycyjnym zwyczajem przesyłamy wszystkim naszym czytelnikom i współpracownikom serdeczne życzenia.

REDAKCJA.

